

Wojciech Stanisławski: Maligna

Zanim najsędziwsi czytelnicy, dziadersi z cenzusem uradują się, że oto dzisiejsi debiutanci piszą nie o jakimś tam elgiebete, lecz o zsyłkach, niech zwrócą uwagę na haczyk. „Koniec” można odczytać również jako wyznanie, że siedemnasty września, zsyłki, cały kosmos komuny, który dzisiejsi pięćdziesięciolatkowie starali się poznać jako mroczne wtajemniczenie, dla dzisiejszych trzydziesto-plus-latków jest traumą: treścią narzucaną, niechcianą, zbyt obecną.

Folie à deux, paranoja indukowana, ma swoje miejsce w podręcznikach psychiatrii, ale przejmowanie cudzych snów i wspomnień? Na zdrowy rozum wydaje się niemożliwe, choć fachowcy potwierdzają występowanie marzeń sennych utrzymanych w tej samej tonacji, nie tylko u członków rodziny, lecz i w relacjach terapeuta-pacjent. Można to tłumaczyć bliskością emocjonalną, doświadczaniem tych samych napięć; ale „przejmowanie” całych wątków narracji, śnienie wspomnień drugiej osoby? Niemożliwe. No, chyba że...

Tak, doczekaliśmy polskiej powieści o „traumie wielopokoleniowej”, głośniejszej w Izraelu, w pokoleniu wnuków *Shoah survivors*, w ostatnich latach coraz chętniej diagnozowanej również nad Wisłą. Powieści doskonałej językowo, poruszającej – i piekielnie niejednoznacznej.

Bohaterka debiutanckiej książki Marty Hermanowicz, Malwina, od pierwszego zdania rozwija monolog-logoreę: lament, zaśpiew, wyliczankę, zdyszana relację niewolną od rymów, echolalii, refrenów, na przemian emocjonalną i wystudzoną, jak wykres gorączki pacjenta dogorywającego na tyfus, zaśpiew, wycie i wyznanie: „Moje ciało jest ośmioma hektarami czarnoziemiu chrobrowiczowskiego (...). Jestem miotaczem ognia, ziemią spaloną, jałową, groźbą zemsty wypowiedzianą pod wiatr, kukłą, co nie może do końca zatonać”. Ta powieść nie może się dobrze skończyć.

Otwieramy ją (okładka Łukasza Piskorka, mały majsterszyk designerskiego minimalizmu) i trafiamy w zgiełk: dziecko wojny, czarnoziem, ogień, zemsta, niewypał z czasów wojny, Dworzec Centralny, „peron trzeci piekła, krąg pierwszy (...) o czwartej czterdzieści rano, o czwartej czterdzieści w nocy osiemnastego lipca dwa tysiące osiemnastego roku bezańskiego”, spaliny autokarów na Zachodnim, pożar. To doświadczenie budzenia się w gorączce, w malignie, w środku dnia, w nieświeżym ubraniu, z trwaniem obrazów ze snu, które nakładają się na to, co przed oczami, choć przecież zwykle rozwiewają się w chwilę po przebudzeniu. Nam zajmie dwa-trzy rozdziały, by zorientować się w tym przemieszaniu czasów, naprzemienności dwóch opowieści, pojawiających się i niknących jak przy źle kontaktującej baterii czy powerbanku, jakby ktoś wziął tylko pół matriksowego *red pill* albo zapił go piwem. Malwina – udręczona, bezkrwista, złachana (z całą miłością polszczyzny, jeden termin angielski jest tu nie do zastąpienia: *wasted*) doświadcza tego przez całe trzydziestokilkuletnie życie.

Koncept, niemal już przeze mnie zdradzony, wydaje się prosty, niemal toporny w swojej dosłowności: kilkulatka, która wchodzi w sen-pamięć babci z czasów, gdy ta miała trafić do pierwszej klasy szkoły powszechnej, we wrześniu roku Pańskiego (jeszcze) tysiąc dziewięćset trzydziestego dziewiątego? Ale, jak uczył klasyk, sztuka rodzi się właśnie z takiego piłowania konceptu: wytrwałego, zaciętego, udręczonego: i tak dzieje się w tej powieści.

Bohaterowie „Matrixa” i innych dzieł traktujących o iluzjach i deluzjach przynajmniej w jednym z dwóch światów doświadczali sielanki. Malwina nie zazna ucieczki: jej dzieciństwo na Ziemiach Odzyskanych, ziemiach niczyich, u schyłku komuny, w latach 90., jest jedną z najbardziej okrutnych dystopii polskich, jakie trafiły mi w ręce w ostatnich latach: jest wyjątkowo pozbawionym złudzeń opisem dysfunkcyjnej rodziny, przemocowej szkoły, małomiasteczkowego piekiełka oraz beznadziei i blichtru „transformacji” widzianej z perspektywy prowincji, która za chwilę stanie się postindustrialna. Do wczoraj wytwarzano tu przynajmniej koks, nawozy sztuczne albo plastiki, których opary spadały na miasteczko o rozjeżdżonych krawężnikach kwaśnym deszczem; jutro nie będzie nic, tylko używanie z niemieckimi ciuchami, duchologiczne reklamy sosów Billy i obłażący z paznokci Barbie lakier. Nie wiem, czy to mistrz bliski Hermanowicz – pewnie nie – ale kiedy czytałem sceny z Nowej Soli przełomu PRL i III RP, wracał do mnie Paryż ze „Śmierci na kredyt” Celine’a: rzadko zdarza się taka konsekwencja w odmalowaniu małości i brzydoty. „i tylko widzą ślepeca który liczy perły / dziewczynę pohańbioną bitych oszukanych / ciemny płacz nisko i sznury na strychu”.

To były (były?) udręki drugiego świata: jego rewers, a właściwie fundament – co z tego, że oniryczny? – to postępujące równoległe do lat nauki Malwiny lata zsyłki babci-Lotki. To opowieść, którą znamy na pamięć, w dziesiątkach subwariantów, opowieść, którą starsi (ci, którzy dorośli, lub przynajmniej dorastali, w schyłkowym PRL) ciągle traktują jako wtajemniczenie, cenną prawdę wyrwaną zabójcom i kłamcom. Dla młodszych, dorastających w latach 90. lub zerowych może to być (to jeszcze jedna niesłychanie ważna konkluzja z lektury „Końca”!) źródło udręki, zapośredniczonego znużenia, ciężącej wiedzy doświadczanej wbrew sobie, niemal w trybie „gwałtu przez uszy”: nadal jednak obecnej. To opowieść o pierwszym i siedemnastym wrześniu polskiej rodziny na Kresach. Tak, każdy z nas potrafiłby ją opowiedzieć, nie sięgając ani do Hermanowicz, ani do Herlinga, Odojewskiego, Wata czy Obertyńskiej, ani do setek relacji wydanych przez „Kartę” i IPN, tysięcy telewizyjnych „setek” i relacji na szpalcie. Komunikaty w radio, wykupywanie zapasów, Sowietci w szynelach i z karabinami na sznurkach, buta miejscowych, triumfalne bramy, komisarze, walenie w drzwi nad ranem, *sobirajties’ z wieszcziami*, lodowate wagony, tygodnie o wodzie i śledziu, łagier, meszki, błoto, mróz, śmierć z głodu, obłądu, szkorbutu, wyczerpania, łachmany, Anders, mróz, znowu śmierć, Kisłowodzk i Persja.

Marta Hermanowicz opowiedziała tę gehennę raz jeszcze, co ciekawe, odwołując się nie tylko do wojennych losów swojej rodziny, ale i przywołując w Posłowie, co nieczęste u prozaików, kilka bestsellerowych tytułów wspomnianej już „Karty” i Muzeum Historii Sybiru, w tym świetny „Dziennik Andersowca 1939-1945” Edwarda Herzbauma i „Odwet” Zbigniewa Lubieńskiego. Inna rzecz, że przecież polskie „wspomnienie zbiorowe” zsyłek zbudowane jest z setek relacji: jednym z pierwszych, do dziś niezastąpionych źródeł obrazów, zmarłą

pożywką wyobraźni pozostaje antologia „W czterdziestym nas Matko na Sibir zesłali” – najbardziej bezsporne dokonanie historiograficzne Jana T. Grossa, sporządzone przezeń wypisy z ankiet, przeprowadzanych u Andersa wśród *Sibir survivors* i przechowywanych w Instytucie Hoovera (wspominam o tym i dlatego, że w antologii tej wyjątkowo obficie reprezentowane jest doświadczenie polskich dzieci żyjących na kresowych wsiach „osadniczych” – inne od doświadczeń zesłańców „wielkowiejskich”, nadreprezentowanych w spisanych relacjach).

To, że Malwina – stara-maleńka, dzidzia-piernik, która z głębin snu wynosi nie tylko doświadczenie śmierci i strachu, ale nawet „ruski”, tj. kresowy akcent – nie ma szans na odnalezienie się w szkole i w świecie, że ta powieść nie może się dobrze skończyć, to jedno. „Koniec” wydaje mi się jednak szalenie ważny jako zapis doświadczeń i abominacji pokolenia – kto wie, może nawet mimowolny manifest?

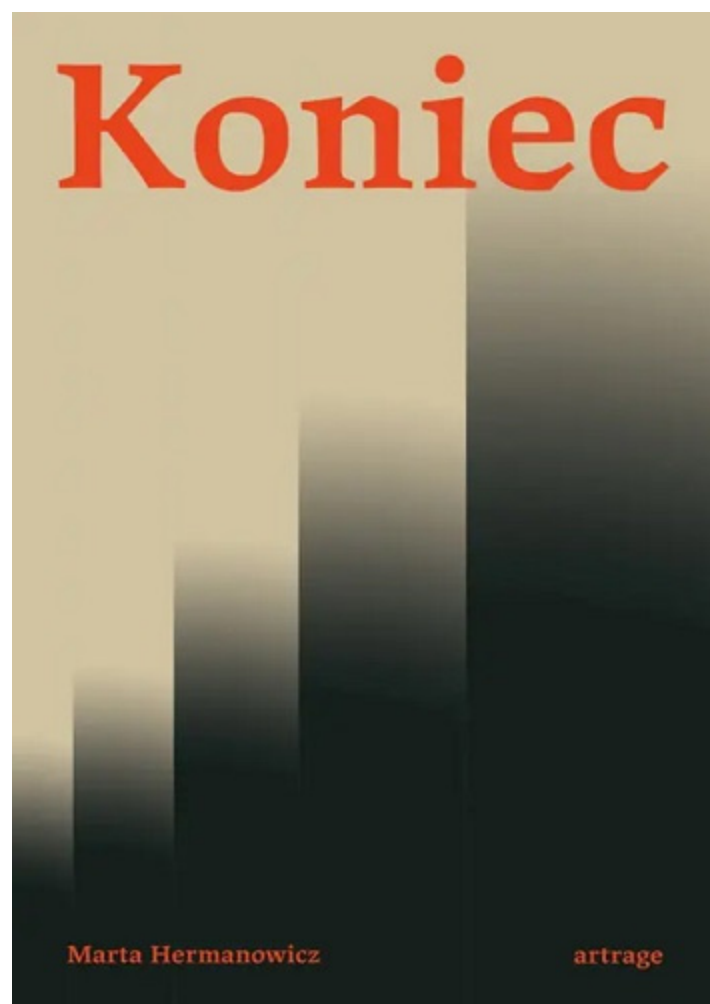
Malwina nie jest bowiem ciekawa wspomnień babki, która pozostaje zresztą wielką milczącą tej powieści, zredukowaną do zwierzęcej niemal (choć przecież zrozumiałej, wobec bagażu zsyłki) troski o pokarm. „Jedz, kotku, jedz” – już tylko tak potrafi się manifestować miłość. Rzecz jednak w tym, że jej pamięć narzucona jest wnuczce, choć nie wprost, ale wbrew woli tej ostatniej: Malwina nie tęskni za chrobrowiczowskim czarnoziemem, codziennie wieczorem zapada w sen jak w bagno otaczające łagier, zgubne i nieuchronne.

To sytuacja nie Malwiny, lecz pokolenia; zanim najsędziwsi czytelnicy, dziadersi z cenzusem uradują się, że oto dzisiejsi debiutanci piszą nie o jakimś tam LGBT+, lecz o zsyłkach, niech zwrócą uwagę na haczyk.

„Koniec” można odczytać również jako wyznanie, że siedemnasty września, zsyłki, cały kosmos komuny, który dzisiejsi pięćdziesięciolatkowie starali się poznać jako mroczne wtajemniczenie, dla dzisiejszych trzydziesto-plus-latków jest traumą: treścią narzucaną, niechcianą, zbyt obecną. „Najtrudniejszy jest proces oddzielenia się od stanu umysłu i historii rodziców. Ale można im powiedzieć: «Wszyscy cierpieli, babcia, ty, szanuję to, ale nie wchodzę w tę grę»” – deklarowała już kilka lat temu na łamach „Pisma” Karolina Słowik (rocznik 1988). Takich głosów słyszeć znacznie więcej, wystarczy nadstawić ucha. Marta Hermanowicz zna proporcje, napisała nie manifest, lecz świetną powieść. Czy jednak nie jest ona podobnym znakiem albo intencją sprzeciwu?

Urodzeni w okolicach 1989 jako dwudziestolatki po prostu beztrąsko odrzucali opowieści pokolenia rodziców: to zrozumiałe, pragnienie, by zobaczyć wiosną wiosnę, nie Polskę, musi się powtórzyć w każdej generacji, niezależnie od tego, czy za podkład muzyczny służy jazz, ska czy neo-pop. Bardziej niepokojąca jest sytuacja, gdy starsi o kilkanaście lat, świadomi już, że trauma przeszłości wrosnięta jest zbyt głęboko, by ją po prostu strząsnąć z siebie, zabierają się za nią z chirurgiczną precyzją, z myślą o tym, by usunąć ją w trybie zaplanowanego zabiegu. „Podobnie jak inne historycznie strauumatyzowane narody przystosowaliśmy się do trudnych warunków, w których przyszło żyć naszym przodkom. Czy jednak jesteśmy skazani na ciągłe przypominanie trudnej historii? Czy istnieje droga wyjścia ze świata lęków i nadwrażliwości?” – zapowiada wydawnictwo Mando „Traumaland”, wydaną w tych dniach książkę Michała Bilewicza.

Oczywiście, pozostaje pytanie, na ile ta potrzeba „ekstrakcji traumy” jest rzeczywista, na ile zaś (w końcu żyjemy, jak wiadomo, w epoce późnego kapitalizmu) została wykreowana. Te pytania też można sobie zadawać podczas lektury „Końca”, niemało jest tam wątków, które krytyk nieżyczliwy czy uprzedzony mógłby uznać za „obiegowe”, za zbyt pospolite w prozie ostatnich lat, kto wie, może nawet wprowadzone z myślą o przychylności przyszłych jurorów? Kłopot z takimi zarzutami polega nie tylko na tym, że są niskie, lecz również – że niefalsyfikowalne. Tak, z perspektywy osób czytających od kilkadziesiąt lat może wydawać się nużące, powtarzalne lub niepoważne, że – niczym w „Tłuczkach” czy ekranizacjach Netflixa – zły musi być nieodmiennie ojciec, brutalny i popijający, ksiądz katecheta musi być zarazem przymilny, dwuznaczny i obojętny, a w tle tlić się musi katastrofa klimatyczna. Nie jesteśmy jednak w stanie nigdy ocenić, na ile to, co w oczach obserwatorów zewnętrznych (oddzielonych np. barierą wieku) wydaje się feblikiem, stylizacją czy w najlepszym razie *Zeitgeistem*, dla doświadczających go wydaje się istotną prawdą. Subiektywne jest, jak wiadomo, obiektywne. Choć może być i tak, że miejsce wtłaczanej do wczoraj przez szkołę i media „pamięci Sybiru” zajmie – może tylko przekazywane bardziej subtelnie – przekonanie o konieczności uwolnienia się od narodowej traumy.



Marta Hermanowicz, „Koniec”, ArtRage, Warszawa, 2024

Skok w powieść

Literary tours, wędrowanie śladami bohaterów literackich, uprawiane jest przez bibliofilów już od z górą stu pięćdziesięciu lat. Nie byłoby go bez wielkiej powieści realistycznej XIX wieku, z czasem rozszerzało się na gatunki bardziej popularne: kiedyś adresowano listy na Baker Street 10, dziś tabuny biegają po Sztokholmie śladami Stiega Larssona. Umowność pilnuje też z ognistym mieczem granicy tych wędrówek: można tropić w krajobrazie Mikołaja Planka, siostry Borejko, Odysa, nie da się jednak trafić na żwirowisko, przy którym Estragon i Vladimir czekają na Godota. Można trafić do nowozelandzkiej Matamata, na plan filmowego Hobbitonu – owszem, zapewne jest to przyjemna wycieczka, ale płaska jak taśma filmowa. W *literary tours* idzie przecież o co innego, o nałożenie, jak w stereoskopii, wyobrażonych przez nas ulic i lipowych alej na realne krawężniki i drogi wysypane szutrem. Jeśli nam się uda, na końcu realnej ścieżki zamajaczy książkowa postać, wynurzając się z wymiaru fikcji; jeśli nie, niedopasowanie – pod którym właściwie numerem Krakowskiego Przedmieścia mieszkał Wokulski?! – też będzie nas twórczo wyprowadzać z równowagi.

Paweł Dunin-Wąsowicz, erudyta i najodważniejszy może wydawca warszawski przełomu XX i XXI wieku, pisząc swoje „przewodniki literackie” nie stworzył więc nowego gatunku czy narzędzia badania literatury: doprowadził natomiast, i to mu się chwali, z dawien istniejący koncept do ostatecznej konsekwencji. Zwyczajnie *literary tours* prowadzą nas przez Dublin Leopolda Blooma, Paryż d’Artagnana lub Petersburg Raskolnikowa. Branża turystyczno-filologiczna oferuje też oczywiście trasy obstalowywane na życzenie, chciałbym kiedyś włączyć się Mediolanem śladami Jacopo Belbo, kluczyć po Baton Rouge śladami Jacka Burdena, ale są to rozrywki niszowe: w ofercie biur (i autorów przewodników) królują klasycy lub gatunki („Warszawa kryminałów milicyjnych”).

W „Bielańskim przewodniku literackim” gatunki, epoki i autorzy wymieszani zostali najfortunniej: od Adama Jarzębskiego i Henryka Sienkiewicza, opisujących klasztor kamedułów nad Wisłą, po Sidneya Polaka („Chomiczówka, Chomiczówka”) i Jacka Kaczmarskiego: bohater jego powieści „Autoportret z kanałią”, przekoszony jak u Nabokova sobowtór-niesobowtór Daniel Błowski, gdzieś na Kwitnącej słucha „blaszanego trzaśnięcia drzwiami windy”. Pomiędzy nimi – bazarek, na którym wyprzedaje rupiecie Wera („Ten się śmieje, kto ma zęby” Zyty Rudzkiej), Kleczewska, którą drobi Irena Lilien („Wielki Tydzień” Jerzego Andrzejewskiego), torowiska Huty Warszawa, gdzie robi karierę Tadek („Zapis” Marka Nowakowskiego).

Dunin-Wąsowicz, wierny autorom lekceważonym, drugorzędnym i niszowym futruje „Bielański przewodnik...” bohaterami *pulp fiction* obficiej może, niż marzyłyby się niektórym czytelnikom: podkomisarze współczesnej policji, ścigani przez nich przestępcy i ich ofiary zdają się mieszkać na co trzeciej klatce schodowej. Ale również dzięki temu na stronach tej stustronicowej pracy (podobnie jak wcześniej w przewodniku żoliborskim, praskim i mokotowskim) dokonuje się przemieszanie postaci, które zawstydziłoby większość postmodernistów, ponad wszelkimi granicami genologicznymi, czasowymi, ba, politycznymi: jak się okazuje, w działki na Młocinach inwestują zarówno bohaterowie prozy tow. Janiny Dziarnowskiej, jak Jędrzeja Giertycha! Dotąd do podobnego przemieszania trzeba było poematu „Gdzie słońce wschodzi i kędy zapada”, gdzie Jakub Jasiński usiłował porozumieć się z Lilian Gish „mową grzechotliwą, bardzo *stacatto*”. Dziś robią to Anusia Borzobohata-Krasieńska, Stach Wokulski i Dżokej (Zyty Rudzkiej) – czasem tylko ustępując akapitu pojedynekom autora z nieścistościami Miejskiego Systemu Informacyjnego.



**Paweł Dunin-Wąsowicz, „Bielański przewodnik literacki”, Urząd
Dzielnicy Bielany, Warszawa 2024**

Wojciech Stanisławski

Recenzje Wojciecha Stanisławskiego w ramach cyklu „Czytelnia publiczna” ukazują się co dwa tygodnie. Wcześniejsze to m.in:

- *Empireum na Elektoralnej*
- *Nowoczesne historie Ukrainy*
- *Lastryko, dębina, siena palona*

- *Szaranagajama*
- *Na górze czajnik, na dole krzyk. Koszykowa*
- *Dumka o imperium*
- *Między „Kolumbami” a trumną*

Dofinansowano ze środków Ministra Kultury i Dziedzictwa Narodowego pochodzących z Funduszu Promocji Kultury



Ministerstwo Kultury
i Dziedzictwa Narodowego
